



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 11-ej z rana do 1-ej po południu i od 4-tej po południu do 6-tej z wieczora.

Nr. 30.

Warszawa, d. 23 (10) Lipca 1904 r.

Rok III. 7

ZEJDŹCIE DO LUDU!...

Młodzi zakładow naukowych rozbiegła się, na wakacje, po kraju całym (niekiedy i poza jego granice). Z drobnymi wyjątkami, młodzież ta pewną część wyczasów wakacyjnych poświęca obcowaniu z przyrodą, wycieczkom botanicznym, geologicznym, lub krajoznawczym, ku czemu do pomocy służy jej fotografja z łatwemi w zastosowaniu przyrządami.

Korzyść praktyczną młodzi wycieczkowicze osiągają stąd wielką, bogacąc umysł swój doświadczeniem, rozwijając zamiłowanie do tworów natury, zwiększając swą spostrzegawczość. Nie może być jednak mowy o tym, aby wycieczki podobne przyniosły pewną korzyść wiedzy powszechnej; co najwyżej, jakiś niezwykły szczegół z życia danego zakątka może dojść do wiadomości ogółu za pośrednictwem młodego wycieczkowicza. Jest jednak dziedzina wiedzy, której młodzież mogłaby oddać przysługę rzetelną, byle tylko sumiennie, bez błędów

lub rozmyślnych upiększeń, spisywała rzeczy zasłyszane. Mówimy o badaniach folklorystycznych.

Słowa „folk-lore” użył po raz 1-szy uczoney Thoms w „Athenaeum” londyńskim w r. 1846. Pojęcie „folkloru”, trafiwszy na przygotowane

podłoże, rozszerzyło się w całym świecie cywilizowanym. Dosłownie wyraz ten oznacza „wiedza ludu”, cały jednak świat naukowy przyjął tę nazwę w brzmieniu angielskim.

Zachodzą pytania: folklor nie jest - że etnografją, a jeśli nie, to czem się różnią te dwa pojęcia?

Odpowiedź prosta: folklor nie jest to, co my wiemy o ludzie, ale to, co lud wie i co lud umie. Folklor obejmuje więc umysłowość ludu, to, co lud wymyślił w mózgu swo-

KATARYNIARZ-WŁÓCZĘGA.



Zdjęcie amatorskie p. Hortensji Giot (za pomocą aparatu „Kodak”), dopełnione w Wieżajciach, gub. kowieńskiej, o godz. 5-tej po południu, przy słabym świetle słonecznym.

im, w duszy swojej.

„Apostolem badania ludu” u nas, znany pracownik na tym polu, Stanisław Eljasz Radzikowski, nazywa Zorjana Chodakowskiego,

wspomina też zbiory pieśni ludu Waclawa z Oleska i Żegoty Paulego. Dzieła Oskara Kolberga są cennym materiałem folklorystycznym, istną skarbnicą w tym zakresie.

Etnografja obejmuje wprawdzie i folklor, nie można mu jednak zaprzeczyć charakteru samoistnego; stykając się z wielu naukami, folklor dziś stoi sam silnie.

Folklorystę winno obchodzić wszystko, co lud umie, a przede wszystkim to, co silniej potrąca o jego umysłowość.

Będąc nauką względnie młodą, folklor wciąż się rozwija, nie można więc od niego żądać, aby wystąpił jako nauka ściśle ograniczona. „Folklor wie, czego chce, ale nie wie, jak daleko sięgnie.”

Jako wydawnictwa osobne służą folklorowi i etnografji: „*Wisła*”, „*Lud*”, oraz „*Wiadomości i materiały etnograficzne Akademii umiejętności*”. Pracom jednak nadsyłanym do redakcji tych wydawnictw brak nieraz metody, wobec czego wydanie podręcznika dla zajmujących się ludoznawstwem było sprawą palącą.

Zadanie takie spełnia doskonale, wydany nakładem Towarzystwa ludoznawczego, podręcznik, przetłómaczony z oryginału angielskiego George'a Laurence Gomme'a, przez Wojciecha Szukiewicza, opatrzony przedmową i uwagami przez d-ra Stan. El. Radzikowskiego. Podręcznik angielski, w przeciwieństwie do dzieł niemieckich w podobnym zakresie, cechuje jasność wykładu i ogólny a głęboki pogląd na rzeczy, bez wdawania się w zbytne szczegóły. Dr. Antoni Kalina zebrał literaturę przedmiotu w dziale „*Źródła polskie*”.

Opierając się na tym cennym dziele, zadajemy młodym przyjaciółom naszego pisma szereg pytań z działy folkloru, na które niech poszukają odpowiedzi — wśród ludu, w którego gronie spędzą wakacje

Niech się zajmują ludoznawstwem nie w tej nadziei, że prace ich ogłoszone będą drukiem, lecz dlatego, aby, rozmiłowawszy się w tym przedmiocie, wsłuchali się w tętna bujnego życia swych spółbraci, aby wchłonęli od podstaw miłość dla ludu, aby nauczyli się odczuwać moc piękna pierwotnego w podaniach, legendach, zwyczajach...

Uprzypomnijmy sobie słowa wieszczki:

„O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnymi i nowymi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.”
Do badań więc ludoznawczych zabierzcie się, młodzi!...

K. H.

Kwestjonariusz folklorystyczny.

I. Wierzenia.

Góry i pagórki.

Czy są i jakie tradycyjne podania co do powstania gór?

Czy ludzie obawiają się wstępować na góry?

Czy niema zwyczaju pozostawiania w górach pewnych drobnych przedmiotów, np. brania i t. d.?

Jaką przyczynę przypisuje lud śmierci, jeżeli ta zajdzie w górach?

Jakie są nazwy szczegółowe, nadawane górcom?

Jaskinie.

Czy jaskinie są przedmiotem obawy?

Czy istnieją opowiadania lub wierzenia, dotyczące się jaskiń i jakie?

Wyspy.

Jak powstały wyspy?

Jakie są podania o zatopionych wyspach?

Czy używają wysp na cmentarze?

Jeziora, stawy, studnie, źródła.

Nazwy jezior, stawów, studzien i źródeł.

Czy istnieją cudowne studnie?

Czy nie zostawia lud drobnych przedmiotów, jak ubrania i t. p., w studniach, źródłach i t. d. i dlaczego to czyni?

Jakie są podania o stawach, studniach lub źródłach?

Czy istnieją podania o miastach zatopionych w jeziorach?

Czy nie opowiadają o widmach przyjemnych lub odrażających w stawach, jeziorach, studniach?

Rzeki i strumienie.

Czy nie wrzucają do rzeki drobnych przedmiotów i t. p.?

Czy wierzy lud w to, że zbrodniarzom lub złym duchom nie dają przejść przez siebie płynące wody?

Czy mieszkania wznoszą się blisko rzeki? a jeżeli nie, czy ma lud do tego szczególne powody?

Jakie są znane przesady lub wierzenia, dotyczące się bieżącej wody?

Ziemia.

Jakie są zwyczaje przy wyborze miejsca pod budynec?

Jakie są podania o początku istniejących budowli?

Czy wybudowanie domu sprowadza śmierć budowniczego?

Czy zmiana domu sprowadza nieszczęście?

Ciała niebieskie i cechy firmamentu.

Jakie są podania o księżycu?

Jakie są podania o słońcu?

Jakie są podania o gwiazdach?

Jakie obrzędy odbywają się na nowiu?

Jakie jest tłumaczenie grzmotu i błyskawicy?

Co to jest wiatr?

W jaki sposób tłumaczą sobie firmament?

Jaki jest stosunek ziemi do firmamentu?

Jakie są podania?

Morze (lub wielkie jezioro).

Jakie są nazwy dawane morzu?
 Jak sobie tłómaczą powstanie morza?
 Jakie są zwyczaje rybaków przy spuszczeniu łodzi?
 Jakie są wróżby rybackie?
 Czy ratowanie tonącego sprowadza nieszczęście?
 Co powoduje przyływ i odpływ morza?
 Co wywołuje fale?

Jakie są znane potwory, powstające z morza?
 Jakie są znane nazwy skał, toni, głębin, raf, mielizn?
 Czy istnieją podania o miastach zatopionych w morzu?
 Czy istnieją podania o syrenach, trytonach (nimfach, świteziankach, wodnikach) i jakie?
 Jaka jest postać syren, trytonów, nimf, świtezianek, wodników?

(D. n.)



JÓZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

II.

W stepach mongolskich.

Wedle ułożonego zawczasu planu mieliśmy zwiedzić, przedewszystkiem, Gańdżur, miejscowość położoną o 150 wiorst od kolei, gdzie o tej porze odbywał się właśnie duży, doroczny jarmark mongolski na bydło i konie. Trakt na Gańdżur prowadzi do miasta Chajłar, położonego nad rz. Arguń, przy stacji tegoż miana. W Chajłarze zatym należało rozstać się z wagonem i podążać dalej konno. W tym też celu, zaraz po przybyciu do Chajłaru, udaliśmy się do dowódcy oddziału straży pogranicznej, pułkownika K., który uprzednie wyznaczył nam konie wierzchowe i 6 żołnierzy konnych, zwanych tu kozakami, jako eskortę.

Trzeba było następnie wyszukać przewodnika i nająć wóz na rzeczy. Okazało się, że to zadanie nielada, bo na jarmark w Gańdżurze, który się był już rozpoczął, wyruszyli prawie wszyscy zamieszkali w Chajłarze mongołowie. Wóz, zaprzężony w trójkę rosyjską, z sybirakiem—woźnicą, wyostał nam wre-

szcie zawiadowca stacji za opłatą 50 rubli, a po przewodnika udaliśmy się, za radą tegoż zawiadowcy, do miejscowego chińskiego biura kolejowego Biura te, zwane po chińsku „dziao-sze-dziuj”, są właściwie oddziałami prowincjonalnego biura dyplomatycznego i reprezentują chińską władzę administracyjną w stosunku do chińczyków, zamieszkujących pas eksterytorjalny.



Wyprawa podąży przez stepy mongolskie.

Naczelnikiem biura chajłarskiego jest p. Czen, b. sekretarz ambasady chińskiej w Berlinie, człowiek wykształcony i doskonale mówiący po niemiecku. Upredzająco grzeczny, dał nam za przewodnika jednego ze swych niższych urzędników i nadto list polecający do „dzan-gina” w Gańdżurze, t. j. urzędnika mongolskiego, delegowanego przez „fu-dutuna” (gubernatora) do nadzoru nad jarmarkiem i pobrania pewnego podatku od każdej sprzedanej głowy bydła lub koni. Upewniwszy się w ten sposób co do koni i przewodnika, kupiliśmy na drogę baraniny, ryżu, chleba i, wreszcie, za poradą Ł., jako doświadczonego w podróżach po stepie, dwa duże wołoki, które istotnie bardzo nam się potem przydały.

Nazajutrz, o godzinie 7 rano, przed wagonem naszym uszykowałam się orszak osobliwy. Na przedzie, na małych, kosmatych konikach mongolskich, jechała nasza czwórka, każdy ze strzelbą na plecach i ładownicą u pasa, drugi szereg stanowili 4 kozacy, potem jechał tłumacz z przewodnikiem, za nimi wóz z rzeczami, a pochód zamykali znowu dwaj kozacy.

Dzień był pogodny, choć matowy, bez słońca. Konie, dobrze wypoczęte, rwały naprzód, to też kilka wiorst, oddzielających stację od miasta, przebyliśmy piorunem. Do miasta, otoczonego wałem z gliny, prowadzi brama z cegły niepalonej z chińskim, wygiętym dachem i ze smokami u szczytu. Przed bramą ustawiono małą ściankę z napisami chińskimi, mającymi bronić wstępu do miasta złym duchom, które, na szczęście, mogą chodzić tylko po linii prostej. Same miasto składa się z jednej większej ulicy i kilku zaułków poprzecznych. Domy, budowane albo z cegły niepalonej, albo wprost lepienne z gliny, robią wrażenie rudery. Są to skutki wojny, podczas której Chajłar zajęło wojsko rosyjskie. Wypędzeni wówczas mieszkańcy wrócili tylko w małej części do miasta, w którym dotychczas kwateruje pułk piechoty rosyjskiej. Miejscowy „fu-du-tun”, gubernator, mieszka też obecnie o parę wiorst od Chajłaru, we wsi pobliskiej.

Za miastem widać świątynie z wysokimi, na czerwono pomalowanymi, słupami przed niemi, ale mijamy je, jak również mijamy „obo”, t. j. miejsce poświęcone duchowi stepów, a oznaczone kępą chrustu ze szmatkami kolorowemi.

Zaraz też wyjeżdżamy w step. Jak okiem sięgnąć, ciągnie się równa płaszczyna, pokryta krótką trawą, wśród której droga wiję się ledwo znacznym szlakiem. Mnóstwo srok i zupełnie czarnych wron, właściwych wschodniej Azji, czas jakiś odprowadza nas, potem odlatuje i odtąd nie spotykamy się na stepie z temi, lubiącymi towarzystwo człowieka, ptakami. Natomiast coraz częściej widzimy rozmaite gatunki jastrzębi i sokołów, polujących na skowronki (*Melanocorypha mongolica*), które są tu znacz-

nie większe od naszych i posiadają głos przeciągły, zbliżony do głosu kuliga.

Przed kawalkadą naszą zrywa się stado kuropatw stepowych, „pustynników” (*Syrhaptes paradoxus*). Zsiadam z konia, nabijam strzelbę i idę w stronę, kędy stado zapadło. Ptaki wylatują z gęstej trawy z charakterystycznym świstem i jeden z nich staje się wkrótce moją zdobyczą. Jest to nieduży ptak o pstrym upierzeniu i długich łatkach, pozwalających ptakowi na szybki lot. Nazwa miejscowa „sadza” albo „bułduruk”.

Jedziemy miernym kłusem, który urozmaicamy czasami galopem, lub też przechodzimy w stępa. Miarodajnym jest bowiem nasz wóz, do którego musimy się stosować z konieczności. Zresztą w głębokich siodłach kozackich, wyłożonych poduszką skórzaną, jest dość wygodnie i kłus niebardzo męczy, zwłaszcza, że większość koni mongolskich posiada specjalny chód kołyszący. Tylko nasz chińczyk-tłumacz, Dżan, nie przyzwyczajony do jazdy konnej, przenosi się od czasu do czasu na wóz, gdzie siedzi wysoko, w ogromnych topazowych okularach na nosie i z ręcznikiem zamiast szala na szyi.

Około południa głód zaczyna nam dokucać, zwracamy się przeto do przewodnika z zapytaniem, gdzie będzie najbliższy popas, czyli inaczej, gdzie jest woda?

„Zaraz, zaraz”—kiwa przewodnik głową, odzianą w urzędową czapkę z białym guzikiem szklanym. Mija dobra godzina, zanim ukazują się piaszczyste pagórki, u których stóp ma być woda.

Istotnie w małym zagłębieniu jest rodzaj stawku do połowy wyschniętego i porośniętego trzcina. Puszczamy się pędem nad brzeg wody, zsiadam z koni, które rozkulbacza każdy osobiście, wycierając trawą spótniałe grzbiety; poczym oddajemy je kozakom i zabieramy się do przyrządzenia obiadu.

Kierownictwo stołem i kuchnią złożyliśmy w ręce profesora

pekińskiego, B., który, jako kozak akmołiński, obeznany jest z tajnikami wiedzy kulinarnej, przystosowanej do warunków stepowych. Stosownie więc do jego wskazówek,



„Obo”, miejsce poświęcone duchowi stepów.

przynosimy wodę w kociołku i w czajniku, zbieramy „argał”, t. j. suchy pomiot bydłocy, jedyny w stepie opał, i rozpalamy ognisko. Na rozestłanym wołtoku apetycznie błyszczą blaszanki z konserwami, butelka wódki, chleb. Obok żołnierze rozpalili drugie ognisko i gotują sobie zupę, a przy nich siedzi w kucki przewodnik i pilnuje herbaty. Wszystko to, razem wzięte, na tle stepu szerokiego, z pasącemi się końmi, tworzy wdzięczny obrazek rodzajowy.

Po krótkiej chwili profesor przynosi z tryumfem kawał dymiącej się baraniny z ryżem i zasiadamy do uczty z apetytem prawdziwych koczowników. Kiedyśmy siedzieli przy herbacie, do taboru naszego podjechało dwu konnych kozaków z poblizkiego postoju wojskowego, wysłanych, jak się okazało, na poszukiwanie dwu kobiet, żon żołnierskich, które wyszły były przed dwoma dniami w step po jagody, rosnące w niektórych miejscowościach, i widocznie zabłądziły.

Po parogodzinnym wypoczynku ruszyliśmy dalej. Wzmocnione na siłach mongoły nasze biegły żwawo i do zachodu słońca ujechaliśmy spory kawał drogi. Należało pomyśleć o noclegu. Tu się jednak stała rzecz smutna, mianowicie przewodnik nasz nie umie określić, jak daleko mamy jeszcze do wody. Trzeba było jechać naprzód, próbując szczęścia. Tymczasem jednak noc zapadała szybko i w końcu stało się tak ciemno, że można było przejechać tuż koło wody, nie widząc jej. Zdecydowaliśmy więc zatrzymać się i przenocować tam, gdzie nas noc zaskoczyła.

Pierwszy więc nocleg w stepie wypadł niefortunnie. Nie można było ani koni napoić, ani zaparzyć herbaty, ani nawet ognia rozpałić, bo „argał” znajduje się tylko koło wody, gdzie bydło zatrzymuje się dla pojenia i popasu. W zupełnej ciemności przeto rozsiodłaliśmy konie, puściliśmy je spętane na trawę i zabraliśmy się do rozwiązywania omackiem troków. Szczęściem, wśród zapasów podróżnych znalazło się kilka świec. Z pustej butelki, po odbiciu dna, zrobiliśmy rodzaj klosza, chroniącego świecę od wiatru, i jasny jej płomyk oświecał wkrótce naszą gromadkę.

W braku ciepłej strawy wypiliśmy po szklaneczce wina czerwonego i zaczęliśmy przygotowywać sobie łoża. Nie była to zresztą operacja skomplikowana: na gołej ziemi rozłożyliśmy jeden z naszych wołtóków, na nim poduszki i kołdry podróżne, a za kołdrę miał służyć drugi wołtók.

Żołnierze, przewodnik i woźnica poukładali się opodał, koło wozu, zostawiając przy koniach wartę z dwu kozaków.

Zaledwieśmy się ułożyli do snu, kiedy nagle zatętniało i z pomroków nocy wynurzyła się postać konnego chińczyka. Przejedny objął nas wzrokiem i, zoczywszy przewodnika-chińczyka, zeskoczył z konia, siadł przed nim w kucki i zaczął szybko mamrotać po swojemu.

Dżan, tłomacz, który przysłuchiwał się chwilę tej rozmowie, podniósł się na łokciu i rzekł tajemniczym szeptem:

„To bardzo niebezpieczny człowiek!”

Aczkolwiek nie zdawałem sobie jasno sprawy, na czem owo niebezpieczeństwo polega, ale poprosiłem Ł., aby kazał nieproszonemu gościowi się wynosić. Chińczyk zamie-



Obozowisko mongołów w Mandzurji.

nił jeszcze parę pytań z przewodnikiem, siadł na konia i zginął wkrótce w ciemnościach.

Przypuszczam, że był to poprostu jeden z kupców, jadących, również jak i my, do Gańdzura, który, zwabiony światłem, połykającym na ciemnym stepie, podjechał zobaczyć, kto to jedzie. Rozbudzona jednak wyobraźnia Dżana kazała mu utrzymywać, że był to „chunchuz”-opryszek, nasłany przez bandę dla podpatrzenia, kto jedzie i czy nie dałoby się odbić koni.

Wypadek ten dał powód do rozmowy na temat napadów nocnych i Ł. przytoczył kilka przykładów ze swej podróży po Tybecie. Tło i otoczenie naszej rozmowy: ciemna noc nad bezbrzeżnym stepem mongolskim, nasz tabor, oświetlony jedyną świeczką, obecność chińczyków, wysokie figury wartujących kozaków w olbrzymich „papachach”, t. j. czapach barankowych, broń ustawiona w kozły, wszystko to nadawało jej specjalny urok i pieprzyk. Wkrótce jednak znużenie wzięło górę i zasnęliśmy przy monotonnym chrzęście i prychaniu pasących się koni.

(C. d. n.)



Jeziro Wigierskie.

(Streszczenie artykułu Kazimierza Kulwiecia w „Pam. fizjogr.“)

(Ciąg dalszy.)

Niemniej bogatą, a pod względem ilości gatunków bodaj jeszcze obfitszą, florę posiadają poręby leśne, albo t. zw. „cięcia”. Są to przestrzenie znacznych tu i owdzie obszarów, gdzie przed kilku lub kilkunastu laty drzewa iglaste zostały wycięte; zostawiono zaś tylko miejscami samotnie sterczące nasienniki — sosny. Miejsca te przedstawiają wszelkie idealne warunki dla roślinności zielnej, dziko rosnącej; wzbroniony jest tu wstęp nietylko pasterzom, pasącym bydło w lasach, lecz i kobietom zbierającym grzyby i jagody. To też przez nikogo nie tratowana, zalana obfitym światłem, zwilżana wilgocią sąsiednich gęstw leśnych i ogrodzona przez nie od zbyt suszących wiatrów, flora prosperuje i kwitnie tu w pełni. Rozsiadły się tu prawie wszystkie gatunki, spotykane w lasach iglastych i mieszanych, na łąkach i na pagórkach, przytym w ogromnej ilości osobników. W lipcu i sierpniu panującą rośliną zielną w porębach jest tam niewątpliwie wierzbówka wązkolistna (*Epilobium angustifolium*). Podczas kwitnienia tej, dochodzącej do 2 m wysokości, rośliny całe poręby przybierają barwę krwistą o fioletowym odcieniu; w jesieni zaś z dojrzałych łuszczyn wiatr porywa olbrzymie masy opatrzonych obfitym puchem nasion i zasypuje nimi, jak śniegiem, wszystkie rośliny, drogi i miedze dokoła.

Ze szczególnych osobliwości (gdzieindziej nie występujących—zdaje się—wcale) florystycznych, zaobserwowanych wśród zbiorowisk porębowych, trzeba zanotować *Aquilegia vulgaris*, *Viola mirabilis*, *Dianthus superbus*, *Hypericum Androsaemum*, *Lathyrus pratensis* i *L. silvestris*, *Rosa pimpinellifolia*, *Rubus fruticosus* i *R. Idaeus*, *Laserpitium latifolium*, *Valeriana officinalis*, *Centaurea decipiens*, *Hieracium umbellatum*, *Inula hirta*, wszystkie zaobserwowane gatunki dzwonków (*Campanula*), *Primula elatior*, *Gentiana Pneumonanthe*, *Polemonium coeruleum*, *Solanum Dulcamara*, *Verbascum nigrum* i *V. Thapsus*, *Calamintha Clinopodium*, *Dracocephalum Ruyschiana*, *Prunella grandiflora*, *Polygonum dumetorum*, *Polygonatum latifolium* i *P. officinale*.

Największa walka o rozrost i o stanowisko pomiędzy różnymi gatunkami roślinnymi

w porębach—widocznie—toczy się dokoła pni, pozostałych po drzewach ściętych. Tu właśnie, dokoła zmurszałych, niekiedy zupełnie rozsypanych się w próchno, korzeni całymi kępami cisną się wszelkiego pokroju rośliny zielne.

Przyczyną tego zjawiska zdaje się być: 1) obfitość największa w ziemi próchnicy i 2) użyźnianie gleby odchodami zwierząt, mających swe kryjówki najczęściej pod korzeniami i pod korą starych pni drzewnych (jaszczurek, ropuch, padalców, myszy, różnych owadów, niekiedy lisów i borsuków). Spostrzeżenie to po części zrobiła już ludność, zbierająca jagody w lesie; wie ona o poziomkach i malinach, najobficiej i najbujniej rosnących dokoła pni starych. Pewne ciekawe odmiany rzucają się w oczy odmiennym ubarwieniem kwiecica, mianowicie odmiany kwitnące białą żmijowca (*Echium vulgare*), wierzbówki wązkolistnej (*Epilobium angustifolium*) i ostróżki (*Delphinium consolida*).

Niekiedy na tym samym egzemplarzu można spotkać kwiaty czerwone i białoróżowe (na wierzbówce), znalezione w porębie pod Sobolewem miał kwiaty trojaki: czerwone, różowe i białe.

Co do flory wzgórz i pagórków, otaczających jezioro a nieostonionych lasem, to spotykamy tu, naogół biorąc, słabszy jej rozwój.

Wynika to stąd przedewszystkiem, że suchszy i bardziej jałowy grunt tych miejsc nie sprzyja zagęszczaniu się, rozplenieniu się ilościowemu każdego z gatunków roślinnych, szczególnie na wierzchołkach suchych i zboczach. Pewne swoiste piętno zbiorowiskom roślinnym nadaje przeszło 20 gatunków przeważnie tu rosnących roślin. Rozchodniki (*Sedum annuum* i *S. Telephium*), szarotki (*Gnaphalium germanicum* i *G. luteoalbum*), macierzanka (*Thymus Serpyllum*), czomber (*Calamintha Acinos*), goździk kartuzek (*Dianthus Carthusianorum*), mak (*Papaver dubium*), nostrzyk (*Melilotus alba*), rumianek farbierski (*Anthemis tinctoria*), ciemiężyk (*Asclepias Vicentoxicum*), wiesiołek (*Oenothera biennis*), posłonek (*Helianthemum Chamaecistus* i *H. guttatum*), dziurawiec (*Hypericum perforatum*), przymiotno kanadyjskie (*Erigeron canadense*), dryakiew (*Scabiosa arvensis*), piołun (*Arthe-*

misia Absintium), miodunka (*Anchusa officinalis*), Inica (*Linaria vulgaris*), kotki (*Trifolium arvense*), dziewanna (*Verbascum Thapsus*), czerwiec (*Sceleranthus annuus*) – spotykają się tu głównie. Barwność i różnokształtność kwiecica podnoszą jeszcze tu dość obficie rosnące dzwonki (*Campanula Persicifolia*) i pajęcznica (*Anthericum ramosum*), lebiodka (*Origanum vulgare*) oraz piękny, po zaroślach i krzewach pnący się powój (*Convolvulus sepium*). Śród tych samych pagórków flora zmienia się tu niekiedy bardzo nieznacznie w zależności od jakichś ubocznych, specjalnych warunków. Bliskie sąsiedztwo wsi np. powoduje przewagę innych, wymagających lepszych warunków życia.

Na zboczach np. pagórków, między wsią Gawrychy a jeziorem zanotowano następujące gatunki, rosnące tu niekiedy ogromnymi skupieniami: Marzymięta (*Elsholzia Patrinii*), żmijowiec (*Echium vulgare*), psi język (*Cynoglossum officinale*), bielun (*Datura stramonium*), lulek (*Hyoscyamus niger*), psianka czarna (*Solanum nigrum*), rzepień (*Xanthium strumarium*), bylica (*Artemisia vulgaris*), ślaz (*Malva neglecta*), tasznik (*Capsella Bursa pastoris*), lepnicza (*Silene conica*, *S. nutans*, *S. noctiflora*), mydlnica (*Saponaria officinalis*), iglica (*Erodium Cicutarium*), kurzyślak (*Anagallis arvensis*), dziewanna (*Verbascum nigrum*), mierznicza (*Balota nigra*), jasnota (*Lamium album*), serdecznik (*Leonurus Cardiaca*), babka (*Plantago ma-*



Widok na klasztor wigierski z pól Cimochowizny.

gor), komosa (*Chenopodium album*), rdest ptasi (*Polygonum aviculare*), pokrzywa (*Urtica dioica* i *U. urens*).

Oprócz tego śród płotów wiejskich rośnie tu i owdzie wieczornik (*Hesperis matronalis*) i przystęp (*Bryonia dioica*); – zawędrowały one tu oczywiście z wiejskich ogródków kwiatowych. To samo powiedzieć można o lilaku (*Syringa vulgaris*) i bzie (*Sambucus nigra*).

Wszystkie wymienione powyżej zbiorowiska przybierają wyraźnie odmienny charakter w miarę zbliżania się do brzegów jeziora; tu obserwować z kolei możemy, jak skupienia roślin nadbrzeżnych ustępują miejsca błotnym, następnie „ziemnowodnym” i wreszcie wo-

dnym. Zbiorowiska nadbrzeżne, zajmujące grunt niekiedy jeszcze dość twardy, jak np. na południowym brzegu zatoki pod Gawrychami, składają się przeważnie z krzewów i zarośli drzewnych. Panuje tu olsza (*Alnus glutinosa*); pomiędzy zaroślami olszowymi spotyka się gdzieniegdzie wierzba i szakłak kruższyna (*Rhamnus frangula*), kalina (*Viburnum opulus*) i jarzębina (*Sorbus aucuparia*). Z roślin zielnych, oprócz traw i turzyc, wśród zbiorowisk nadbrzeżnych, zanotowano tu: glistnik (*Chelidonium majus*), fijołek błotny (*Viola palustris*), muchotrzew (*Stellaria aquatica*), niecierpek (*Impatiens noli me tangere*), koniczynę (*Trifolium pratense*), wykę (*Vicia cracca*),

kuklik (*Geum urbanum*), wierzbowkę (*Epilobium parviflorum*), krwawnicę (*Lythrum Salicaria*), nabagnicę (*Ostericum palustre*), biedrzyń (Pimpinella magna), przytulię (*Galium verum*), podbiał (*Tussilago Farfara*), tojeść (*Lysimachia vulgaris*), świetlik (*Euphrasia officinalis*), pszeniec (*Melampyrum pratense*)

przetacznik (*Veronica urticifolia*), dąbrówkę (*Ajuga reptans*), poziewnik (*Galeopsis Ladanum*), czyściec (*Stachys germanica* i *S. palustris*), paproć (*Polypodium Dryopteris*), orlicę (*Pteris aquilina*).

(d. n.)

PIOTR LOTI.

I N D J E.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Bramini świątyni w Odeypur.

W odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu mil od grot olbrzymich,—jadąc na północno-zachód, który to kierunek jest kierunkiem sushy ciągle wzrastającej na drodze głodu wielkiego, którą przedsięwzięłem,—jest jeszcze jeden postój czarodziejski, to miasto białe Odeypur, w krainie Meswar.

Z oddali już, zbliżając się, dostrzegasz białość tej mnogości świątyni i pałaców, odrzynających się od tła wysokich gór zębatych, pokrytych lasami, które je zewsząd okalają i zewsząd zamykają. Pomimo barwy zmartwiałej, która od czasów, gdy deszcze padać tu przestały, zastąpiła kolor zieleni, pomimo całej nieprawidłowości i smętku krainy, która niszczy i rdzawi się w czas wiosny, miasto, gdy patrzysz na nie z odległości, zachowało jeszcze wygląd miasta szczęśliwego i błogosławionego w tym zadrzewieniu, u stóp skłonów lesistych, które tworzą dla niego niby gniazdo, pełne ciszy i dziwnych uroków.

Z bliska atoli jakże zagłada już widoczna! Gościńcem, obrzeżonym drzewami martwymi, który wiedzie do przystani, snują się żebracy żałośni, istoty, jakich się nigdzie nie spotykało, istoty nie do wiary, że życie w nich jeszcze się kołace: to mumje, wyschłe szkielety chodzące, z oczyma pozostałymi jeszcze w głębi oczodołów, z głosem pozostałym jeszcze w głębi krtani—do modłów o jałmużnę. Są to rozbitki włościan okolicznych; pociągnęli ku mia-

stu—na słuchy, że tu jeść jeszcze dają. Po drodze jednak wielu ich padło; tam i sam, na grubej warstwie pyłu, widzisz konających; pył natychmiastowy pokrywa to konanie, sprowadzając nagość ich do koloru szkieletów.

Wzdłuż tego gościńca obwody smętne bez końca należą do maharadży Odeypuru: poprzez mury opasujące dostrzegasz mauzolea, grobowce, szczątki świątyni, świątynki kamienne i marmurowe, budowle kopolaste, gdzie spalają szczątki książęce, olbrzymie drzewa, pozbawione liści i mrące, z małpami, usadowionymi na ich gałęziach.

Wreszcie u bramy tych murów, białej i wysokiej, strzeżonej przez Indjan z obnażonymi szablami, cały ten przypyły wozbrany głodomorów zatrzymał się, jak fala przed szluzą; stoją tu tłumem i wyciągają ręce,—nie iżby wzbraniano im wejścia do miasta, lecz że we wszystkich krajach świata bramy zawsze były miejscem wybranym dla żebrzących.

Odeypur, założony trzy wieki temu (po zburzeniu Szytory, *) starożytnej stolicy Meswaru, której szczątki spoczywają o kilka mil na wschód), ma już charakter miasta bardzo starożytnego, pod grubym całunem wapiennym. Mieści w sobie sporo świątyni bramińskich — z białymi kolumnami, z białymi piramidami, z których największa i najbardziej czczona na-

*) Szytora, założona w r. 728, zrabowana w r. 1303 przez Aladyna, w r. 1533 przez Bahadura, szacha guzerackiego, wreszcie 1568 ostatecznie zgładzona przez Akbara.

leży do boga Szri-Januath-Raidże. Na skale bardzo białe również pałace Maharadży; z jednej strony panują nad całym miastem, z drugiej przeglądają się w jeziorze czystym i głębokim, okolonym górami i lasami.

Pewna okoliczność zaraz na wstępie zjednała mi, jako przyjaciół, dwóch młodych braminów, którzy są braćmi i kapłanami w wielkiej świątyni. Codziennie, w godzinach ciszy pałacej, kiedy nie wychodzę z domu, przyjmuję ich, pełnych delikatności i powagi, w moim „domku podróżniczym”, który znajduje się poza murami, pośród pyłu samotni. Ubrani są w białe szaty, głowa otoczona zawojem wytwornym. Podobni do siebie z twarzy: ta sama delikatność wytworna, te same wielkie oczy tajemnicze. Szlachectwo ich rodu bez krzyżowań z nieodpowiednich połączeń sięga w przeszłość dwu czy trzech tysięcy lat. Są to synowie i potomkowie tych marzycieli, którzy od pnia samego byli zawsze poza i ponad nędznym życiem ludzkim; którzy nigdy nie ulegali żadnej chuci, zyskowi czy walce; którzy nigdy nie zabili nawet najlichszego stworzenia; którzy nadomiar nie jedli nic z tego, *co żyje i rusza się*. Ulepieni z innej, niż my, gliny, czystszej i godniejszej, za życia już niejako są odcieleśnieni i mają zmysły mniej tępe, zdolne do ujęcia rzeczy poza tym życiem doczesnym.

Złudna atoli była moja nadzieja otrzymania od nich jakowegoś światła; braminizm ich zacieśniony, zaćmiony, z rodu w ród, przez praktyki i obrzędy; nie pojmują już, zda się, treści, zawartej w symbolach.

— „Król Szri-Jugat-Singhi, syn Szri-Karat-Singhiego, wielki czciciel bóstwa, któremu służymy, rozpoczął budowlę naszej świątyni w r. 1684, zaraz po wstąpieniu na tron. Pobudował też dwie inne świątynie na jeziorze; budowała trwała razem dwadzieścia cztery lata. Na obrząd otwarcia, r. 1708, kiedy bóstwo nasze umieszczano w świątynicy, zjechało się wielu książąt krwi okolicznych, z wielkim przepychem, ze świtą, wiodąc ze sobą całe zastępy słoni...”

Tak opowiada jeden z braci, w ciszy południa i półmroku „domku podróżniczego”, osłoniętego od słońca, much i wiatru, wiatru głodowego. Są bardzo obeznani ze świątyniami Odeypuru i ze wszystkimi bóstwami panteonu puranicznego. Co się jednak tyczy rzeczy wieczystych, widzeń poza bytem, ilekroć zapytam, nie otrzymuję nic, co by mi się zdało pojętnym; tracimy natychmiast punkt styczny, czujemy, że nie należymy do tego samego gatunku; między nami zapada zasłona nocy rozdzielającej. Są oni jasnowidzami, nie ulega

wątpliwości, jak większość kapłanów tego samego gatunku, są jednak zarazem prostaczkami, którzy nic nie rozumują.

Codzień przynoszą mi podarki prostacze: kwiatki, placuszki, dla nich wypiekane. Są ujmujący i słodcy. Zawsze jednak dzieli nas przepaść. „W szacunku nawet, jaki mi okazują, jest coś z nieprzeparłej pogardy kastowej; więc nie tylko raczej by umarli, niż zgodzili się na zjedzenie strawy obrzydłej, krwią i mięsem napiętnowanej, do której przyzwyczaili mnie moi przodkowie; nie tylko tedy nie przyjęliby z mej dłoni nawet szklanki wody, lecz, co więcej, zjedzenie lub wypicie czegoś w mojej obecności byłoby dla nich takim splamieniem czci, że nic nie zdołałoby go zgładzić.

Tego ranka, przed porą ich wizyty zwykłej, uchylają nieco drzwi moich, wpuszczając promień światła palącego, smugę pyłu i powiew pieca ogniowego. Czynią to, by dać mi znać, że dziś święto ich bóstwa i że nie będą mogli przyjść; jeżeli jednak pragnę, o zachodzie słońca mogę ich zastać w pierwszym okręgu ich świątyni.

Pozostawili mi zarazem wianuszki z kwiatów jaśminu, jakie tutaj podczas świąt wkładają sobie na szyję, — wianuszki atoli były — o, dziwo! — z jaśminu francuskiego, jakiego nie znają tu — w Indiach południowych... Otóż tych drobnych, białych kwiatuśków, nizanych na wianek dziecięcy, nie widziałem od czasu pierwszych lat mego życia, od czasu, gdy na podwórku domu rodzinnego, w cieniu starych murów, ubarwionych tymże jaśminem, bawiłem się, robiąc równianki, podobne do tych, jakie mi przynieśli moi przyjaciele-indjanie... I oto w pamięci mej powstały odrazu owe lata odległe, gdy liście padały wzdłuż tego muru, gdy zioła i kwiaty tego podwórka dla oczu mych ongi streszczały cały świat. W cofnięciu się tym bezbrzeżnym na chwilę zgasty dla mnie i kraina Bramy, i miasto Odeypur, bóstwa jego, głód i słońce palące..

Pod koniec dnia atoli udałem się na święto boga Szri-Januath-Raidże.

Świątynia jego biała, jakby śniegiem świętym okryta. Wchodzi się do niej po schodach okazałych z trzydziestu do czterdziestu stopni, strzeżonych przez słonie kamienne.

Piramida bramińska tu, na północy Indji, nie jest, jak na południu, zgromadzeniem bezmyślnym zwierząt i bożyszcz; jest ona bardziej powściągliwa, bardziej tajemnicza; z dala przypomina wielkie drzewa cisowe na cmentarzach. Świątynia Szri-Januath-Raidża zawiera kilka takich piramid, które są również białe, białe, jak śnieg świeżo spadły.

Widząc, że nikt nie ma wstępu do świątynicy, jeżeli nie jest indjaninem przedniej klasy, zatrzymałem się na podwórku i kazałem wywołać swych przyjaciół.

Przyszli na moje wezwanie, lecz, zaprawdę, nie byli to już ci sami, co w „domku podróżniczym”; jeszcze bardziej przepaść niezrozumienia rozchyliła się między nami. Zaraz więc na wstępie przeprosili mnie, że nie mogą, jak zwykle, ucisnąć mej dłoni, gdyż są dzisiaj służebnikami i powołanemi do dotykania rzeczy świętych.

Po raz pierwszy dzisiaj widziałem ich prawie nagiemi, jak to jest w zwyczaju kapłanów, gdy są wobec bóstwa. Mały sznureczek „synów ust Brahmy” opasywał przez ramię ich piękne postaci brązowe, a oczy ich rozszerzone miały wyraz nieobecności, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem.

Zawsze jednak grzeczni i uprzejmi, posadzili mnie na miejscu honorowym, u stóp miedzianego Wisznu, naprzeciw drzwi samej świątynicy.

(C. d. n.)



Prace samodzielne.

Na czele № 40 go „Przemysłowca” znajdujemy artykuł, którego treść w głównych zarysach, dziwnie nadaje się do rozważania w porze, gdy całe zastępy młodzieży, świeżo wypuszczonej z różnych szkolnych zakładów średnich, rozmyślają nad wyborem zawodu.

Iluż to *Wattów*, *Faradayów*, *Franklinów*, *Stephensonów* — pisze „Przemysłowiec” — każdy kraj posiadałby, gdyby system wychowania odpowiadał duchowi czasu i kierunkowi epoki. Iluż to gieniuszów każdy naród traci dlatego, że, pogrążeni w apatji, nie są świadomi własnej siły! Potrzeba skierować władze umysłowe ludzi myślących ku pracom i badaniom samodzielnym, one bowiem są jedyną dźwignią *przemysłu* i *techniki*. Istnieje bezpośredni związek pomiędzy pomysłnością narodu a badaniami naukowymi, dokonywanymi w gabinetach lub laboratorjach uczonych.

Bez zasad naukowych nie może być mowy o odkryciach na polu przemysłu. Bez badań Blacka nad ciepłem utajonym pary wodnej nie mielibyśmy owych machin parowych, które dokonały zupełnego przewrotu w przemyśle nowoczesnym; bez badań fizjologicznych Galwaniego nie mielibyśmy owych szybkich jak myśl posłańców, które w okamgnieniu przesyłają wiadomości z jednego krańca świata na drugi; bez badań Faradaya nad *benzolem* nie mielibyśmy owych przepysznych farb, z którymi żadna dotychczas znana nie może wytrzymać porównania.

Za granicą rządy i ludzie prywatni usilnie się starają nadać popęd pracom i badaniom samodzielnym; w Anglii np. stara szlachta, bogaci

kupcy i przemysłowcy poświęcają ogromne sumy na laboratorja, obserwatorja i inne instytucje, mające na celu skierowanie młodzieży ku badaniom samodzielnym. U nas zawiązuje się towarzystwa wyścigów konnych, towarzystwa muzyczne, towarzystwa sztuk pięknych, otwiera się resursy i kluby, jednocześnie jednak ani pod względem naukowym, ani technicznym, lub przemysłowym, nie idziemy w ślady Anglików, Francuzów lub Niemców; o należyte wykształcenie ludzi mało lub wcale nie dbamy; staramy się rozpowszechniać zamiłowanie do sztuk pięknych, nie troszcząc się o to, że nauki ścisłe, wiedza społeczna techniczno-przemysłowa z powodu braku środków kształcenia leżą u nas odłogiem.

Że młodzież nasza może z korzyścią dla kraju pracować na tych polach, dowodzi uznanie, jakiego nasi młodzi uczeni doznają za granicą, gdzie niejeden zajmuje posadę profesora lub naczelnego kierownika.

Nie ulega wątpliwości, że towarzystwa muzyczne i tym podobne stowarzyszenia są bardzo ważne, gdyż przyczyniają się do rozwinięcia zamiłowania piękna; lecz równie ważne byłyby dla nas towarzystwa zachęty do prac samodzielnych, dla oderwania młodzieży od kariery urzędniczej.

Można wyliczyć cały szereg korzyści, jakie podobne instytucje oddałyby krajowi, zwłaszcza w czasach obecnych.

Układając cegielkę za cegielką przez długie pokolenia, ludzkość wzniosła ów potężny gmach wiedzy służącej życiu, który dziś podziwiamy; wszyscy ci, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do tej pracy olbrzymiej, mogą być pewni, że nienapróżno pracowali.

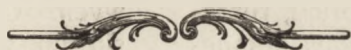
Nie ulega wątpliwości, że znaczna liczba odkryć w dziedzinie przemysłu i sztuk dokonana została przez samouczków, lecz zapytajcie się ich biografów, a oni wam powiedzą, jaką to pracą i wysileniem mężowie ci nabwili tej wprawy logicznej myślenia i ścisłości obserwacji, zręczności mechanicznej i energii działania.

Jeśli zgodzicie się na to, że prace samodzielne uzdatniają młodzież do sumiennego wypełniania swych obowiązków obywatelskich względem kraju i swoich współobywateli, to musicie przyznać, że każdy dobrze myślący człowiek powinien, o ile może, przyczyniać się do zakładania instytucji, mających na celu przygotowy-

wanie młodzieży do prac samodzielnych. Jeżeli zakładacie kąpiele akcyjne, browary akcyjne i t. p. zakłady, dlaczego nie macie spólnym kosztem zakładać laboratorjów lub gabinetów, w których młodzież mogłaby pracować samodzielnie?

Podobne zakłady będą się bardzo dobrze procentowały, one dostarczą nam zdolnych techników, chemików, przemysłowców, a tym sposobem, oprócz wypłacenia długów, jakie zaciągnęli względem kraju, przyczynią się niemało do własnej korzyści materialnej.

M. K.



LEOPOLD JANIKOWSKI.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy.)

Przybywamy do miasta, gdzie już oczekuje król na czele ludności, wiedząc, skąd przybywamy i czego potrzebujemy. Odrazu np. powiada, iż wie o naszych zamiarach krótkiego tylko odpoczynku w jego mieście, lecz prosi o pozostanie dłuższe itp.

Jeszcze lepszym środkiem porozumiewania się jest bęben „tam-tam“. Jest to pień z bardzo twardego drzewa, wewnątrz wydrążony, w ten jednak sposób, że jedyne otwory to dwie wązkie, podłużne szpary z jednego boku. Otóż w owe otwory uderzają pałeczkami, co wydaje nadzwyczaj silne dźwięki, za których pomocą mogą murzyni prowadzić całe rozmowy. Miasta, szczególnie nad rzekami, są niezbyt oddalone od siebie, o ważniejszym więc fakcie, jak zjawieniu się białych, miasto pierwsze komunikuje, za pomocą „tam-tam“, następnemu, i tak dalej, po całym kraju. Na naszej stacji miałem podobny bęben i nieraz korzystałem z jego usługi. Płynie np. łódź krajowa daleko na morzu, rozmowa głosem byłaby niemożliwą — wołam więc któregośkolwiek murzyna i on robi przez „tam-tam“ zapytania. Każda łódź ma również bęben. Odpowiadają zatem, dokąd płyną, jaką mają prowizję, ceny itp.

„Tam-tam“ wojenne są olbrzymie, stają zwykle na placu „paławrowym“ i, w razie niebezpieczeństwa, zwołują i ostrzegają ludność.

Jest to też główny instrument muzyczny, dodatkowymi są: rogi różnej wielkości, oraz bardzo długie bębny z naciągniętą skórą kozią lub antylopy—uderzają w nie rękoma.

Melodji muzycznych nie mają żadnych, śpiewów jakichś narodowych również. Do tańca wprawdzie grają i śpiewają lecz muzyka zaszła się na jaknajgłośniejszym biciu w bębny, a śpiew jest improwizacją, zastosowaną do okoliczności. Tańce są bardzo nieestetyczne. Mężczyźni i kobiety tworzą koła, drepcąc jedno za drugim, przyczem całe ciało odbywa jakieś nerwowe rzuty, każdy mięsień drży, wciąż w ruchu. Taniec podobny nadzwyczaj męczy, oddają mu się jednak po kilka godzin z rzędu, co prawda, każda zabawa jest ożywiana wódką— a ta dodaje sił.

Użycie wódki bardzo rozpowszechnione wszędzie, w całej Afryce. Dla wódki i za nią murzyn zrobi i odda wszystko; pić może wiele, szklanka od herbaty to zwykła porcja; wypiwszy, pogładzi się po piersiach, najwyższa to oznaka zadowolenia. Gdyby nie trudny transport, podróżnik mógłby z wódką i tytuniem przejść całą Afrykę, bo tytuń, po wódce, jest najpożądniejszym artykułem handlu zamiennego.

Niektórzy murzyni, przebrawszy miarę w użyciu alkoholu, przysięgają na swoje fetysze, iż wódki, t. j. rumu czerwonego, pić nie będą —

i dotrzymują słowa: upijają się bowiem dzinem białym.

Napojów, wyrabianych na miejscu, są dwa gatunki: wino bambusowe i palmowe, to drugie lepsze i bardziej rozpowszechnione. Przygotowują go w ten sposób, że przy samej koronie palmy olejnej wybijają długim dłutem otwór, pod który podstawiają kalebasę, czyli butelkę z wydrążonej tykwy, dokąd sok palmowy ścieka; dając napój słodki, bardzo smaczny, orzeźwiający, zbliżony smakiem do słabego szampańskiego; musuje bardzo, to też dobry tylko na prędkie użycie, po dwu dniach ferment zamienia go w ocet. Jedna palma może dać na dobę 2—3-ch butelek. Pomimo tak znacznego upływu soku, drzewo wcale nie choruje, rozrasta się i rodzi owoce. Podobnie jak w północnej Afryce palma daktylowa, tak tu palma olejna, jest bogactwem, głównym źródłem dochodu murzyna. Kilka razy do roku wyrastają z pomiędzy liści korony olbrzymie kiście, jakby bukiety podłużne, napełnione ściśle owocem ciemnym, wielkości naszej śliwki węgierki; pęk taki ma czasem metr długości a 1/2 szerokości, u dołu ku górze się zwęża. Owoce są osadzone wśród twardych, kłójących liści, są ich tysiące, a tak ściśle jeden leży około drugiego, iż bez pomocy noża długiego lub siekiery trudno je oderwać ręką. Gdy murzyn spostrzeże, iż orzechy są czerwonego koloru, czyli dojrzałe, uzbrojony „kotlasem“, wchodzi na palmę; lecz musi się dobrze napracować, zanim pęk owoców zrzuci na ziemię. Do wchodzenia na drzewa używają bardzo prostego przyrządu, jest to kawał (ze 4 łokcie długi) twardego łyka, zwiniętego owalnie, z jednej strony zamkniętego na klamry. Opasują tem pień palmy—z drugiej strony, przesuwiają pas pod ramiona i, podając ciało w tył, podrzucają ciągle pas w górę, przytem pomagają sobie nogami, które mają zawsze jakieś oparcie, gdyż pień palmy nie jest zupełnie gładki; tym sposobem, w przeciągu kilkunastu sekund, dostają się murzyni na najwyższe drzewa zupełnie bezpiecznie. Nazbierawszy dostateczny zapas pęków orzechów, murzyn znosi je do domu, i tu już rozpoczyna się praca kobiet. Kotlasami odłączają orzechy od łodygi i segregują: czerwone, dojrzałe idą na wyrób oleju, jasne, mniej dojrzałe, do jedzenia; podziwu godna siła ich zębów: orzech podobny jest tak twardy, iż trzeba rozbijać go kamieniem, oni zaś najswoobodniej uskuteczniają to zębami.

Dojrzałe owoce gotują wraz z pestkami, odławszy wodę, wyrzucają je następnie do drewnianych moździerzy w formie koryta i tam

drewnianymi tłukami wybijają olej, wybierają pestki i gotują wyciśniętą masę powtórnie, dodawszy trochę wody. Włókna opadają na spód garnka do wody, czysty zaś olej sływa pod wierzch i to jest pierwszy produkt, — olej na wół oczyszczony, który kupują faktorje, płacąc po 1 rb. za garniec. Tenże olej chcąc użyć do jedzenia, gotują jeszcze kilkakrotnie z wodą, przez co się coraz więcej oczyszcza i w końcu staje bardzo smaczną okrasą do potraw: jest to masło roślinne, czerwono-żółtego koloru, którego nie można porównywać do żadnych tłuszczu znanych u nas.

Oprócz palmy olejnej rośnie w górach, szczególnie bliżej brzegu, wiele palm kokosowych. Górale kameruńscy zjadają owoc, a ze skorup wyrabiają czerpaki lub kubki do wody.

Po palmach najpożyteczniejszym drzewem jest kauczukowe. Rośnie w całych górach w wielkiej ilości. Aż do naszego przybycia murzyni nie wiedzieli o naturalnym bogactwie, jakie mają w swych lasach. Pierwszy zwrócił na to uwagę zmarły nasz przyjaciel, Tomczek. Podczas wycieczki, którą z nim razem odbywałem, uwagę naszą zwróciły owoce duże, okrągłe, leżące licznie na ziemi: były to owoce kauczukowe; drzewa nacięte potwierdziły to. Krajowcy nadbrzeżni, nieco cywilizowani, znali kauczuk, słyszeli o wyrobie, lecz dowodzili, iż drzew jest bardzo mało, więc eksploatacja ich by się nie opłacała. Tymczasem na wyższych skłonach gór odkryliśmy całe lasy lijan kauczukowych, grubości ręki, niekiedy nogi. Zjawili się zaraz kupcy—szwedzi, osiedlili w górach, krajowcy nauczeni rzucili się do wyrobu i dziś zapewne mają stąd większe źródła dochodu niż z oleju. Wyrób kauczuku bardzo łatwy. Nacinają lijanę kotlasem, przywiązują miseczkę z tykwy, w którą ścieka biały, gęsty, lepący się sok, podobny do śmietany. Gotują go następnie, dodając albo wody morskiej, albo soku cytrynowego. Płyn przez gotowanie paruje, gęstnieje; mieszają go ciągle pręcikiem, na około którego coraz więcej oblepia się masy; w końcu wyciągają z garnka, wyrwywają kijek, pozostaje kawał masy elastycznej w postaci olbrzymiej gruszki. Zyski na handlu kauczukiem są olbrzymie. Kauczuk to bogactwo gór, którego rozumna eksploatacja i za setki lat nie wyczerpałaby, lecz murzyni niszczą ogromnie drzewa. Lijana rośnie wysoko, murzyn za leniwy drapać się w górę, ścina więc wprost drzewo i dopiero z leżącego na ziemi wydobywa sok.

(C. d. n.)

POMOCNICZY ROŚLIN.

(Dokończenie)

Od nieproszonych gości, przychodzących tylko w celu spijania słodkiego soku, roślina broni się wszelkimi sposobami. Tak np. niektóre goździkowate pokrywają swe łądyżki lepkiem wydzielinami, zatrzymującami wpełzające mrówki i inne owady. Są również takie rośliny, które, w celu odwrócenia uwagi nieproszonych gości od miodników, posiadają specjalne zbiorniki nektaru w innych, bardziej widocznych miejscach, t. zw. zewnątrzkwiatowe miodniki.

Przystosowań tych z zupełną dokładnością i pewnością wyjaśnić się nie da; to jednak napewno można powiedzieć, że dawniejszym zjawiskiem jest zapylenie przez wiatr, niż przez owady.

Nie myślmj jednak, żeby kwiat wyzyskiwał owady i nie ułatwiał im pracy. Bynajmniej. Ileż to trudu musiałby nadaremnie stracić owad, gdyby musiał zaglądać do każdego kwiatka, czy znajdzie tam jeszcze nektar, czy też już uprzedził go kto w odwiedzinach. Otóż kwiat z chwilą, kiedy nastąpiło zapylenie, daje znać, że nie warto zaglądać do niego, gdyż wszystką słodycz żeń już wypito.

Przyjrzyjmy się koniczynie. Na jednej główce widzimy jednocześnie i pochylone, powiędłe już kwiaty, i z otwartymi i nawet z nieotwartymi jeszcze kielichami. Czemże to objaśnić? Otóż te, które opuściły już swe korony, mówią owadom, że zostały już zapyłone i że słodkiego soku w nich niema; te zaś, które wesoło ku słońcu podnoszą swe płatki, jakby prosiły trzmiela o odwiedziny.

Niektóre kwiaty, jak to już wspominaliśmy, mogą być zapyłane przez wiele owadów, inne są specjalnie przystosowane do przyjęcia pewnych tylko gatunków owadów. Cóż się dzieje, jeśli tych niema? Wtedy roślina wydaje kwiaty, ale z tych kwiatów ani owoców, ani nasionek być nie może.

Np. kiedy wanilję przewieziono na wyspę Jawę, wydawała ona jak najlepiej kwiaty, ale nasion nie było, gdyż nie było owadów przenoszących pyłek. Cóż było robić?

Ludzie sami musieli zbierać dojrzały pyłek i przynosić go na znamiona słupka, aby otrzy-

mać owoc. Można, zresztą, zapobiedz złemu sprowadzając odpowiednie owady.

Kiedy na Nową Zelandję wprowadzono po raz pierwszy z Europy koniczynę, rosła ona tam i kwitnęła bardzo pięknie, ale nie wydawała wcale nasion tak, że trzeba było je sprowadzać z Europy na nowo. Wyspa ta nie posiadała wcale trzmieli, przenoszących pyłek koniczyny, i dopiero, gdy koloniści wpadli na pomysł sprowadzenia tych owadów, koniczyna zaczęła wydawać nasiona.

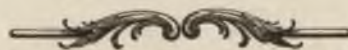
Niektóre kwiaty krain podzwrotnikowych zapyłają się za pośrednictwem małych ptaszków, np. kolibrów. Na rysunku naszym widzimy naigrawnik (*Marcgravia nepenthoides*), zapyłany przez kolibra.



Jeszcze mniej znanymi są przypadki zapyłania za pośrednictwem mięczaków. Jako na przykłady możnaby wskazać na czerwień (*Calla palustris*) lub śledzienię (*Chrysosplenium*).

Jeżeli jednak zapylenie z zewnątrz nie nastąpi, coż wtedy ma robić kwiat? Grozi mu bezpłodność. W razach takiej konieczności, zapyła sam siebie. Jeżeli pylniki są niższe od słupka, to albo dorastają do znamienia, albo słupek nachyla się do nich. Są to jednak przypadki względnie rzadkie i nie dla wszystkich roślin dostępne.

Henryk Rygier.



Książki i Czasopisma. 1)

Prace Sekcji rolnej w drugim półroczu 1903 r.
(Dodatek bezpłatny do „Gazety rolniczej”).

Biblioteka Warszawska, miesięcznik, poświęcony naukom, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.
Lipiec 1904 r. (Recenzja dzieła Światłomira „Ciemnota Galicji”).

Japonka, tłumaczenie z gazety esperantycznej „Lingvo Internacia”, dokonane przez W. Dębskiego, wydrukowała „Gazeta lubelska”.



ROZMAITOŚCI.

Wystawa starodawnych polskich wyrobów metalowych. Jednocześnie z wystawą metalową w Krakowie będzie utworzony tam, w pałacu Czapskich przy ul. Wolskiej, oddział historyczny, mieszczący wystawę retrospektywną starodawnych polskich wyrobów metalowych. Niezmiernie interesująca ta wystawa obejmie wszelkiego rodzaju broń, używaną przez wojska i rycerstwo polskie, więc: hełmy, pancerze, miecze, tarcze, ozdoby żelazne i uzbrojenia koni rycerskich, dalej działa różnego kalibru, broń palną ręczną, krucice itp. Nadto znajdują się na wystawie przedmioty ozdobne, jak: brosze, zausznice, starodawne manele, bransolety, guzy, spinki. Metalowe przybory kościelne, jak: świeczniki, misy, kadzielnice, dzwonki, lichtarze, przybory starodawne, używane w synagogach polskich, znajdują również miejsce na tej wystawie, której celem jest danie, o ile możliwości, dokładnego obrazu sztuki odlewniczej, co w ciągu wieków aż do połowy XIX stulecia wytwarzał polski przemysł metalowy. Wymienione powyżej i tym podobne przedmioty z żelaza, brązu, cyny, miedzi, szlachetnych kruszców itp. nadsyłać można pod adresem Muzeum Narodowego w Krakowie, które podjęło się wszelkich czynności, połączonych z urządzeniem wystawy.

Wpływ ptci pogromcy na poskramianie zwierząt. Dr. Th. w swoich „Zoologischen Kritiken“ pisze: „Twierdzenie Petry’ego, że dzikie zwierzęta w menażerjach

1) O każdym nowym wydawnictwie, nadesłanym do nas przez Autora lub Wydawcę, dajemy wzmiankę, niekiedy zaś szersze sprawozdanie, o ile przedmiot dzieła wkracza w zakres zadań naszego pisma.

Red.

najposłuszniej i najprzyjaźniej zachowują się względem właścicielki, znajduje poparcie w szesnastoletniej, pięknej Tilly Bébé, która teraz występuje ze swojemi 12-tu tresowanemi lwami. Zdumiewa nas, z jakim spokojem przebywa ona w gronie królów pustyni, objawszy za szyję swego faworyta. Lwa „Karlosa”. A jednak zdanie to Petry’ego jest tylko pod pewnym względem słuszne. Przedewszystkiem, czy to piękność poskromicielki wywiera wpływ na zwierzęta? Z pewnością tak, u wszystkich tych zwierząt, które kierują się wzrokiem, jak tygrys, lew, w ogóle wszystkie koty, ptaki, małpy i t. d. Opowiadają o bardzo dzikim lwie sułtana marokańskiego, który (lew, nie sułtan) bardzo przyjaźnie się zachowywał względem pięknych i młodych dam, do starszych zaś zawsze wyszczerzał groźnie zęby. Dalej opowiada Petry o tygrysie, który opanowany został tak silnym uczuciem dla pewnej pięknej kobiety, że wył załośnię, gdy jej nie było, nie chciał przyjmować pożywienia, wreszcie zachorował i zdechł. U zwierząt, których podstawowym zmysłem jest powonienie, piękność lub szpetność poskromicielki gra rolę bardzo małą. Otóż powodzenie pięknej kobiety ma znaczenie głównie u zwierząt kierujących się wzrokiem i to tylko u samców.

Zwierzęta z trudnym do wiary zrozumieniem odczuwają różnicę między kobietami a mężczyznami. Czy ma się przed sobą papugę—samca lub samicę, poznaje się przedewszystkiem po tym, czy ona zachowuje się przyjaźnie względem kobiet, czy też względem mężczyzn.

Zdaje się, że wszystkich 12 lwów, z któremi występuje panna Bébé, są to samcy, co byłoby stwierdzeniem wyrażonego tu poglądu. Zresztą uważnym pogromcom fakt ten jest znany od dawna. Dość przytoczyć tu, co profesor Jäger pisze w tej sprawie. Co do dzikich zwierząt, to poskromienie samców udaje się łatwiej kobietom, samice zaś mężczyznom; moje dwie wilczyce były np. do mnie i do moich synków przywiązane jak psy, względem żony jednak i służącej były zawsze wrogo usposobione. Suka przywiązuje się silniej i łatwiej do mężczyzny, aniżeli pies a odwrotnie ma się rzecz z kobietą. Że byki łatwiej dają się poskramiać dziewczęce aniżeli parobkowi, jest też rzeczą powszechnie znaną. Moje doświadczenie obejmuje psy, lisy, niedźwiedzie, antylopy, jelenie, różne gatunki kotów i papug, u których to ostatnich owa krzyżująca się sympatja najwidoczniej się objawia.

To czyni zrozumiałym, dlaczego właśnie kobiety w starożytności znane były z siły poskramiania, jak Cybela, Medea, Cyrece itd.“

Piekarnie z przed dwóch i trzech tysięcy lat. Od najdawniejszych czasów chleb był zawsze najpowszechniejszym pożywieniem. Najstarożytniejsze pomniki egipskie wyobrażają piekarza, przygotowującego ciasto i piekącego chleb. Jedna z sal grobowca Ramzesa III, faraona z 22-tej dynastji, który panował na 1300 lat przed naszą erą, ozdobiona jest ciekawym freskiem, pozwalającym nam towarzyszyć pracy piekarza z przed 30 wieków. „Piekarz—głosi jeden z papyrusów egipskich—wyrabia ciasto i kładzie je na ogień; kiedy głowa jego jest wewnątrz pieca, syn jego przytrzymuje go za nogi; gdyby wyszliźnął się z rąk syna, wpadłby w płomienie.”

O dziesięć wieków później wypiek chleba u rzymian został znakomicie udoskonalony. Śród ruin Pompei, zasypanej przez Wezuwjuś w 79 roku, znaleziono piekarnię miejską. Zboże, przywożone z Sycylii, tego

spichlerza Italji, melli w młynie, poruszonym przez osła, którego szkielet znaleziono obok młyna. W pokoju sąsiednim z młynem znajduje się piec, zbudowany bardzo podobnie do obecnych pieców: sklepienie ceglane z otworem, przez który wsuwano chleb. Piekarz pompejański otwierał lub zamykał otwór pieca za pomocą blachy żelaznej.

Jeden z wykopanych pieców zawierał w sobie pieczywo, włożone widać przez piekarza, zanim gorząca lawa zniszczyła całe życie w nieszczęsnym grodzie.

Tuberkuloza w Niemczech. Dr. Mayet w pracy swej: „Statystyka przyczyn śmierci od 25 lat“ wykazuje, że ilość chorych na tuberkulę w ostatnich latach zmniejsza się nieustannie. Oto liczby, dotyczące się miast, posiadających co najmniej 15,000 ludzi: na 10,000 mieszkańców skonstatowano wypadków:

od 1877 do 1881	357,7
1882 — 1886	346,2
1887 — 1891	304
1892 — 1896	255,5
1897 — 1901	218,7

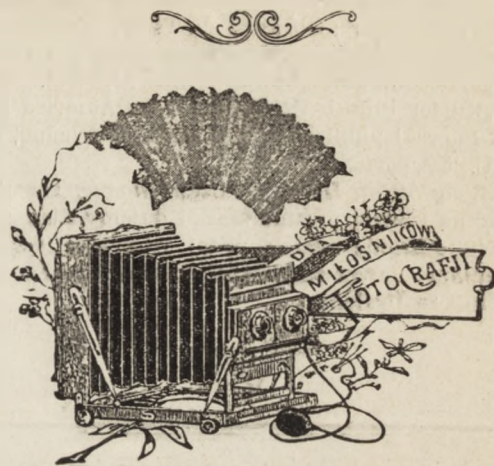
Podług mniemania d-ra Mayeta znaczne zmniejszenie się liczby wypadków należy przypisać owocnym usiłowaniom w walce z tą straszną klęską.

Chińczyk o druku i pisaniu. Omawiając sprawę wpływu druku na krótkowzroczność, dr. F. Głogowski przytacza w „Journal d'Hygiène“, rozumowanie pewnego Chińczyka, z którym w zasadzie i sam się zgadza. Otóż, zdaniem owego Chińczyka, najmniej męcząca dla wzroku jest pisownia łacińska, gorszą znacznie rosyjska, a wprost niemożliwą niemiecka. Powstaje również tenże Chińczyk na różnicę pomiędzy pisownią a wymową w języku niemieckim i angielskim. Nie może on zrozumieć, po co ten nadmiar liter, których się nie wymawia wcale; zbyteczna tylko strata papieru i niepotrzebny wysiłek wzroku. Zagadką jest również dla niego, dlaczego alfabet pisany różni się od drukowanego. Litera pisana chyli się z lewa na prawo, gdy, tymczasem drukowana jest prostą. Na to, co prawda, oddawna już zwrócili uwagę znakomici okuliści, a w Szwajcarii i Bawarii nieraz nawoływano do wprowadzenia w szkołach pisowni prostej. Należałoby rzeczywiście, zdaniem autora, przeprowadzić reformę w pisowni i druku a korzyść stąd byłaby materialna i higieniczna.

Dzień żołnierza angielskiego. Żołnierz angielski latem wstaje o godzinie 6-ej, zimą o 7-ej; pierwsze śniadanie zajmuje mu około godziny, po śniadaniu ćwiczenia trwają 2 godziny, poczem jeszcze godzina nauki teoretycznej, i wieczorem znów 2 godziny ćwiczeń. O godz. 1-ej obiad, o 6 ej kolacja,—a poza tem reszta czasu zupełnie swobodna.

Poza zajęciami służbowemi, stosunek oficera do prostego żołnierza bywa często bardzo serdeczny: łączą się oni dla wspólnych rozrywek, jak np. urządzenia koncertów, teatrów amatorskich i t. d.

Jak widzimy, życie żołnierza angielskiego nie jest bynajmniej uciążliwe.



ODPOWIEDZI.

„Ciekawemu.“ Aparaty Kodaka służą przeważnie do zdjęć na błonkach, nie na kliszach szklanych. Aczkolwiek zdjęcia wykonane na błonkach mogą być bardzo dobre, poczynającemu fotografowi-amatorowi doradzamy aparat do klisz szklanych. Jeżeli aparat taki ma służyć przeważnie do zdjęć osób i chodzi o możliwie duże głowy, to radzimy aparat składany amatorski 9x12, który, wraz ze statywem, obiektywem i jedną podwójną kaseta, można nabyć za rb. 14. Jeżeli ma być przytem migawka, to koszt powiększy się o 2 ruble. Jeżeli nie chodzi o zdjęcia biustowe (głowy), lecz głównie o zdjęcia grupki i scen ożywionych, to radzimy aparat systemu skrzyneczkowego (detectif) z magazynem na 12 zdjęć migawką i wszelkimi ułatwieniami. Aparat taki do klisz, formatu 9x12, można dostać dość dobry w cenie rb. 16, z magazynem zaś na 6 zdjęć, lub gorszy cokolwiek, z magaz. na 12 zdjęć, rb. 12. Np. aparaty Express (rb. 16), Kobold (rb. 12), w Warsz. w składzie przyborów fotograficznych Zgoda 7. Aparat „Cycle“ Nr. 3 do błon formatu 8x10 1/2 i klisz jednocześnie 9x12 kosztuje rb 35, z lepszą migawką rb. 40. Wymieniając powyższe, mamy na uwadze aparaty tanie, o jakie Pan zapytuje, i bez przyborów.

W. K.



Do potrzebnych podań szkolnych wykonywa w 3 dni fotografie dla uczni i uczenic

K T O ? ! !

Fotograf IGNACY KACHEL

ulica Chmielna Nr 3E. (trzeci dom od rogu Marszałkowskiej).

Z USTĘPSTWEM 20%.

6-1

DLA UCZNI!

I UCZENICI!

Odpowiedzi Administracji.

Odpowiedzi Redakcji.

W-ny Władysław Mossor, c. k. prokurator w Tarnowie. Oto żądane adresy: *W Azji:* „Persja, Tauris — Witold Rayzacher“; *Chiny, Tien-Tsine:* Tadeusz Krzywoszewski; *w Afryce:* „Mr. Victor Etgens, I Regiment Etranger, 9 compagnie—Sidi-Bell-Abas Algerie“.— *W Ameryce:* „Kurjer Polski“ Milwaukee Wiss America Box 68; „A. A. Paryski publisher, 316 Jackson Avenue, Toledo Chio U. S. America“

W-ny Stefan Dreszer w Częstochowie. Termin miesięczny na rozwiązywanie szarad dajemy dlatego, aby umożliwić branie udziału w tej rozrywce wszystkim czytelnikom, nawet zamieszkałym nad morzem Kaspijskim, lub za Uralem.

W-ny Eligjusz Hueck w Telszach. Tyle zeszytów wyszło, prosimy o cierpliwość.

W-ny S. Singerman w Pyzdrach. Przy tygodniku naszym wychodzi co tydzień, jako dodatek, oddzielnie płatny, „Biblioteka ilustrowana podróży i powieści“; drukuje dwa utwory wartościowe od razu. Cena Biblioteki, z przesyłką na prowincję, rb. 2 kop. 50 rocznie, odpowiednio półrocznie i kwartalnie.

W-na Wł. Zar. w Radomiu. Wysłały list w wiadomej sprawie.

W-ny J. Urbanowicz w Antonowie. Reklamacje co do nieodebranych numerów tygodnika lub Biblioteki uwzględniamy tylko w ciągu 2-ch tygodni od wyjścia z druku danego numeru. Brakujących zeszytów Biblioteki możemy dostarczyć za opłatą po 5 kop. arkusz i koszt przesyłki pocztowej.

Od Administracji.

Przypominamy Sz. prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na II półrocze.

DLA TEGO NAJTANIEJ! dywany, portjery, firanki, serwety, kapy, kołdry watowe i pluszowe, chodniki, plusze, gobeliny, burety itp. **ŻE NA I-em PIĘTRZE** w składzie **Henryka Radeckiego.** Marszałkowska 112, 1-e piętro, przy ulicy Chmielnej.

Treść № 30. *Zejdźcie do ludu!..* (z rysunkiem). — *Na Dalekim Wschodzie,* przez *Józefa Gieysztora* (z rysunkami).—*Jezioro Wigierskie* (z rysunkiem). — *Indje,* przez *Piotra Loti'ego,* tłumaczył *Józef Jankowski.*—*Prace samodzielne,* przez *M. K.*—*Z podróży do Afryki,* przez *Leopolda Janikowskiego.* — *Pomocnicy roślin,* przez *Henryka Rygiera* (z rysunkiem).—*Książki i Czasopisma* — *Rozmaitości* — *Dla miłośników fotografii.* *Odpowiedzi.*—*Odpowiedzi Redakcji.*—*Odpowiedzi Administracji.*—*Ogłoszenia.*

Treść „Biblioteki ilustrowanej podróży i powieści.“ *Rozbójnik Marko,* przez *L. Bousenarda,* tłumaczyła *M. Naimska* (str. 85 - 92). — *Tajemnica burzy morskiej,* przez *Sylwana Cobba* (str. 25—32).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata“: w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Za granicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblioteką ilustrowaną podróży i powieści“: w Warszawie rocznie r. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50.— Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9.—Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop. 20—Cena numeru kop. 10.

Agientura w Łodzi:
Księgarnia L. Fiszera,
Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.

Agientura w Częstochowie:
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki,
Aleja II № 43.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.